

Zamiast przedmowy

Studio nieużyteczności

Wszyscy znają korzyść pożytecznego,
ale nikt nie zna pożytku nieużytecznego.

Zhuangzi

W dawnych Chinach uczeni, poeci, artyści mieli zwyczaj nadawać swym rezydencjom, samotniom, pracownikom czy warsztatom nazwy znaczące lub poetyckie. W istocie czasem nie mieli ani rezydencji, ani samotni, ani pracowni, ani warsztatu, a niekiedy nawet dachu nad głową, ale istnienie lub nieistnienie jakiejś materialnej podstawy dla Imienia było rzeczą, którą żaden z nich zbyt nie przejmował. I można się zastanawiać, czy jednym z największych uroków chińskiej kultury nie jest właśnie to, że tak potężną wartość przypisuje ona Pismu. Nie przywołuję tu abstrakcyjnej idei, tylko żywy fakt. Pozwolę sobie pokazać tu zaledwie skromną tego ilustrację, która uderzyła mnie niegdyś, kiedy byłem jeszcze młodym i nic nie wiedzącym studentem.

W Singapurze odwiedzałem dość regularnie małe kino, w którym wyświetlano sfilmowane przedstawienia opery pe-

kińskiej. To kino było placówką dość siermiężną, stojącą pod gołym niebem na łące, na poboczu ruchliwej szosy (w tych czasach w Singapurze istniały jeszcze tereny wiejskie): ogrodzenie otaczało dwadzieścia kilka rzędów siedzeń, składających się z długich desek leżących na kozłach. W porze deszczowej pod koniec popołudnia zawsze spadała potężna ulewa; z zapadnięciem nocy, kiedy seans się zaczynał, często deski jeszcze nie zdążyły wyschnąć, więc przy kasie, kupując bilet, otrzymywało się mały plik starych gazet, dla ochrony zadka przed wilgocią. Wszystko w tym kinie tchnęło bylejąkością i improwizacją, wszystko z wyjątkiem szyldu, który wznosił się nad wejściem i ogłaszał nazwę zakładu: były to dwa wspaniałe wielkie hieroglify nakreślone szerokim i szczodrym pędzlem, *Wen Guang*, co można przetłumaczyć na „Światło Cywilizacji” albo „Światło

Pisma” (to jedno i to samo). Ale nieco później, podczas seansu, siedząc pod gwiazdami i podziwiając na ekranie cudowną interpretację Ma Lianglianga w roli mądrego ministra Trzech Królestw (III wiek), trzeba było przyznać, że to „Światło Cywilizacji” nie jest czczą przechwałką.

Wróćmy jednak do tytułowego Studia Nieużyteczności: była to rudera w Hongkongu (w Kowloonie), stojąca w samym sercu slumsu zamieszkanego przez uchodźców. Żeby dostać się do niej nocą, trzeba było zaopatrzyć się w latarkę elektryczną, bo nie było tam ani ulic, ani latarni, tylko labirynt ciemnych ścieżek, wijących się wśród chaosu koślawych baraków. Wzdłuż ścieżki ciągnął się niczym nie przykryty ściek, a tłuste szczury biegały pod nogami przechodniów.

Przez dwa lata korzystałem tam z braterskiej gościnności dawnego kolegi ze studiów, którego poznałem na Tajwanie; był artystą, kaligrafem i grawerem pieczęci, i dzielił mieszkanie z dwoma innymi studentami – filologiem i histo-

rykiem. Mieliśmy tylko jedną wspólną izbę, w której spaliśmy na piętrowych łózkach. Ten pokój był zagracony stosami książek i najróżniejszych rzeczy; byłaby to prawdziwa nora, gdyby panującego tu brudu i bałaganu nie wynagradzało nadzwyczaj efektownie dzieło mojego przyjaciela: zawieszona na ścianie wielka kaligrafia (w archaicznym stylu pieczęciowym) *Wuyong Tang*, „Studio Nieużyteczności”. Rozumiana dosłownie, ta inskrypcja mogłaby stanowić akcent humoru i autoironii; w istocie jednak zawierał się w niej podwójny sens, nie pozbawiony solidnej dawki tupe-
tu: słowa te wybrał nasz kolega filolog, chłopak o wielkiej erudycji, a stanowiły one aluzję do pewnego ustępu z *Księgi przemian* (Yiing), najstarszego, najświętszego (i najbardziej tajemniczego) ze wszystkich chińskich klasyków, ustępu mówiącego, że „wiosenny smok jest bezużyteczny”, co znaczy (wedle tradycyjnego komentarza), że w młodości i w okresie kształcenia talenty ludzi naprawdę wybitnych (takich, którym pisana jest świetna przyszłość) powinny pozostawać ukryte.

Spędziłem zatem dwa lata w Studiu Nieużyteczności. Były to lata intensywne i radosne; dla mnie studiowanie i życie były jednym i tym samym niewyczerpane interesującym przedsięwzięciem, moi przyjaciele stawali się moimi nauczycielami, moi nauczyciele – przyjaciółmi. Najlepszy opis doświadczenia tego rodzaju można znaleźć w wielkiej, klasycznej książce Johna Henry’ego Newmana, *Idea uniwersytetu*. Newman stawia tam nadzwyczaj ciekawą tezę. Mówi mianowicie, że gdyby miał wybierać między dwoma rodzajami uniwersytetu – jednym, gdzie szacowni profesorowie udzielają nauk studentom, którzy przychodzą tylko wysłuchać wykładów i zdać egzaminy, a drugim, gdzie w ogóle nie byłoby ani profesorów, ani egzaminów, ani dyplomów, i gdzie

ZAMIAST PRZEDMOWY

tylko pewna liczba młodych ludzi żyłaby razem przez trzy lub cztery lata – opowiedziałby się za tym drugim, i kończy tak: „Jak to wytłumaczyć? Przypuszczam, że tak oto: kiedy masa młodych ludzi, pełnych zapału, o otwartych oczach i sercach, przyjaznych w stosunku do otoczenia, jak to bywa regułą u młodych, zejdzie się w jednym miejscu i swobodnie ze sobą obcuje, można być pewnym, że będą się uczyć jedni od drugich, nawet jeżeli by nie było nikogo, kto ma ich nauczać; rozmowa wszystkich jest serią wykładów dla każdego z osobna, zdobywają sobie nowe idee i poglądy, świeży materiał do przemyśleń i określone zasady wypowiedania sądów i działania, dzień po dniu”¹.

Mam nadzieję, że pozostałem wierny nauczaniu Studia Nieużyteczności, niekoniecznie w takim sensie, w jakim rozumieli to moi towarzysze (bo obawiam się, że nie jestem akurat z rasy smoków!), ale przynajmniej w tym bardziej oczywistym sensie, jaki nadał mu Zhuangzi (cytowany na początku). Czy to pragnienie jest skromniejsze, czy bardziej ambitne? W końcu ten rodzaj beużyteczności leży u samych podstaw wszystkich zasadniczych wartości naszej wspólnej ludzkości.

Canberra, czerwiec 2011